

Henri BARBUSSE

przekład z francuskiego:  
Hanna STEC-WOJCIESZYK

Red. Literacka

Data: 5.07.1981 r.

Godz.: 16,05 - 17.30

*Br* *W*

**Główny Urząd Kontroli Prasy  
Publikacji i Widowisk  
Delegatura w Bydgoszczy**  
uczestniczył w wyrażeniu  
i rozprawie, ocenie

Wzrost *W-10* Format *W*

Data *30.11.81* Podpis *H*

B Ł Ą D  
=====

Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy nastąpiło u mnie to dziwne skrzywienie wrażliwości, które musiało doprowadzić mnie do zbrodni.

Byłem marzycielskim chłopcem o drobnej, bladej twarzy. Natura, wśród której błądził mój młody wiek, urzekła mnie: niebo, równina, wieczór zapadający w ogrodzie; ale bardziej jeszcze lubiłem to, co pulsuje życiem. Życie wzruszało mnie i na tym polegał mój wielki problem... Dzieliłem smutek, nieszczęście żebraków stojących na skraju dróg, lub co gorsza, ulic. Zbyt łatwo przychodziło mi litowanie się nad innymi. Kiedy opowiadano przy mnie <sup>a</sup> historię o biednych ludziach - niesłusznie lub słusznie dotkniętych przez los - chwycił mnie atak łez, następnie nocą, przed zaśnięciem, w powadze mej samotności, powtarzałem sobie po cichu te historie po to, żeby jeszcze bardziej płakać nad nimi.

Ale powoli, niezależnie ode mnie, bardziej zaczęło wzruszać mnie nieszczęście zwierząt, niż ludzi.



Pamiętam wieczór, kiedy zaczęła się ta choroba mego serca. Siedzieliśmy przy rodzinnym stole oświetlonym lampą. Na dywanie, zastępującym obrus, zgromadzone były reprodukcje, które zarówno duzi, jak i mali, oglądaliśmy jedne po drugich: smutne i wzruszające sceny z życia ubogich. Każdy obrazek przejmował mnie dreszczem - ale nagle, jeden z nich mnie zranił... Przedstawiał wóz pogrzebowy biednego, za którym nie szedł nikt, prócz psa... Z mego gardła wydarł się szloch. Zastanawialiśmy się, co się działo z chwilą kiedy trumnę wrzucano do fosy, z chwilą gdy pies wiedział... Zastanawialiśmy się, kto zajął się nim, nim, który sam jeden szedł za zmarłym.

Ale nie tylko ta troska mnie ogarniała, podczas gdy patrzyłem na tego psa, czarno-kosmatego, o kędzierzawych włosach, postępującego poważnie za pojazdem, w którym zamknięty był jego pan. Było to odkrycie nieszczęścia, które... Dopiero na ten widok zrozumiałem wagę rozłąki, bezmierny dramat żalu, potworną karę, na którą wystawieni są ci, którzy żyją razem. I nie mogłem się powstrzymać od myślenia, że gdyby za tą trumną na drodze do wieczności, artysta namalował mężczyznę lub kobietę, nawet dziecko czy starca, scena nie wywołałaby we mnie tego świata niepokoju i myśli. Próbowałem przyjść do siebie, odepchnąć ogarniające mnie wzruszenie. Ale na próżno broniłem się



przed nim, na próżno niepokoiłem się nim, musiałem mu ulec.

Rosłem, pracowałem. Moja wrażliwość jednak pozostawała zawsze tak samo delikatna, tak samo świeża, ale spośród wszystkich drgnień życia nadal wybierała te najbardziej samotne, aby drzeć wraz z nimi.

Bez wątpienia emocjonowały mnie wiadomości wojenne i szczegóły katastrof. Jednak inne wydarzenia miały wówczas znaczenie dla mego młodzieńczego serca.

Wielkie jelenie, które kowboje chwyтали na lasso na prerii, aby pilować im rogi i wrywać wszystkie zęby - służące jako znak przynależności <sup>do</sup> pewnej sekcji. Pewien dziennik ilustrowany zamieścił zdjęcie jednego z tych zwierząt, z nagim czołem, ze szczęką o wybitych zębach, strzaskaną przez gwałtowne okaleczenie, który stojąc /gdyż/ przez najwyższe szyderstwo wypuszczano na wolność tych męczenników, którzy nie mogli więcej jeść/ patrzył z głębokim i nieskończonym odepnieniem na tego, który miał odwagę go fotografować.

W Konstantynopolu były psy, które tłoczono setkami na statkach które następnie chwymano wielkimi kleszczami, aby wrzucać je do morza w pobliżu skał, gdzie szły umierać i gnić. Jednego razu był to pies zbłąkany, dręczony przez dzieci w kamieniołomach i kamienio- wany. Innym razem szczenna suka, którą ulicznicy rozszarpali na ka-



walki, żeby zabawić się w odbieranie porodu. Były też jagnięta prowadzone na rzeź, którym łamano/<sup>obie</sup>nogi z tej samej strony, aby nie odchodziły na bok i żeby trzymały się stada; i tyle innych dramatów z ulic, laboratoriów, a zresztą... Był protest donośny, gwałtowny narodowy aficionados przeciwko pancierzowi okrywającemu brzuch biednych starych koni pikadorów, które zdejmowano w imię świętej walki byków; i tyle innych podobnych potrzeb i aspiracji.

Tak, mimo przerażającego nazewnictwa kradzieży, morderstw, pożarów czy klęsk, były to kroniki wypadków, które, w moich oczach, przede wszystkim plamiły moją epokę.

Oczywiście nie łudziłem się co do inteligencji rzeczywistej ale ograniczonej, zwierząt. Wiedziałem czym są one i czym jest człowiek i znałem przepaść, która nas dzieli. A więc dlaczego, dlaczego?

Nie potrafiłem tego zrozumieć... Załedwie raz czy dwa - jeden raz przede wszystkim, kiedy wpatrywałem się jednocześnie w starego pasterza i jego starego psa i kiedy spojrzenie tego ostatniego wydało mi się bliższe memu sercu - załedwie mogłem podejrzewać niewyraźnie, iż był to rodzaj cudu prostoty równie nieuchwytniej jak cuda boskie i równie boskiej.

I potem nastąpiła tragedia, którą chcę wyznać... A więc byłem



żołnierzem w kolumnie ekspedycyjnej, daleko na południu, w departamencie Oranu. Postawiono mnie na warcie na skraju lasu, niedaleko naszego obozu. Miałem za zadanie zatrzymać za wszelką cenę każdego, kto próbowałby tamtędy przejść.

... W letniej szarości poranka wstrząsnął mnie lekki hałas i zauważyłem przed sobą nieprzyjacielskiego jeźdźcę, który stał w odległości 20 metrów.

Uniesiony w szerokich strzemionach, z ręką przed dziką twarzą wykrzywioną z natężenia, wielki barnarzyński wojownik badał drogi nie domyślając się mej obecności. Jego biały koń, spięty na swych wrażliwych, delikatnych nogach, patrzył na mnie swymi oczami gazeli.

Nagle, skierowali się na drogę, której pilnowałem. Mój karabin, gotowy, pochylił się, aby usłuchać. Widziałem konia. Ale coś silniejszego ode mnie, silniejszego ponad wszystko, kazało mi podnieść broń, spojrzeć wyżej. Huknął strzał, koń pogalopował dalej, ale człowiek spadł.

Cóż znaczy, to, co nastąpiło potem. Pozostaje mi tylko powiedzieć:

Wiem, że popełniłem zbrodnię, gdyż mogłem oszczędzić życie jednemu z mnie podobnych bez przekraczania rozkazu.



Wiem, znam potępienie na które zasługuję i to co można przeciwko  
mnie powiedzieć; uświadomiłem to sobie z chwilą, kiedy zobaczyłem  
tego Araba chwiejącego się, poruszającego ramionami, jak gdyby  
próbował trzymać się kurczowo przestrzeni. A więc dlaczego, dlaczego?

Gwałtownie, jak nigdy, ale z większą dozą pośpiechu i energii,  
pragnę wytłumaczyć się przed samym sobą, poznać się lepiej...

Postępuję źle... Mam jednak światełko, które mnie prowadzi...  
Wierzę, że ta skłonność, która zawsze sprawiła, że najbiedniejsze  
nieszczęścia były mi bliższe niż inne, ma za przyczynę prostotę  
istot niższych, które pokochałem aż do zbrodni, prostotę absolutną,  
prostotę nadzwyczajną.

Rozum mój i moje serce, podobnie jak wasze, jak nasze wszystkie,  
nie są jeszcze zdolne zrozumieć dokładnie ludzi. Ludzie są zbyt  
skomplikowani.

Zbyt wiele rzeczy psuje i zagłusza pierwsze wejrzenie, które  
się im rzuca, bardziej jeszcze ukrywają się niż przyznają. Ale zwie-  
rzęta pozwalają się widzieć twarzą w twarz. Ja mogę już odczytywać  
tę odrobinę czegoś nieskończonego, co mają w sobie. Odkąd istnieją,  
ukazują w nagości cud życia i cierpienia. Jeżeli ich spojrzenia  
są wzruszające, to dlatego, że są szeroko otwarte i że głębokie



prawdy, które są nam wspólne, spostrzegamy tam wcześniej niż gdzie indziej. A więc, wytłumaczalne jest to, że nasza litość, tak jeszcze dziecinna, biegnie niekiedy nieuchronnie ku nim nie zastanawiając się nad innymi, ponieważ litość, to największe z ludzkich uczuć, składa się ze zrozumienia i światła!

Nadejdzie dzień, kiedy serce nasze zrozumie tak samo serce bogate jak i biedne... Błogosławię przyszłość lepszą niż terażniejszość. Ale niech mój błąd odpokutowany przez tyle cierpień będzie mi wybaczony: nie był on bowiem przeciwieństwem, był tylko początkiem prawdy.